

# KINO KRÓTKICH FILMÓW

Marek Stokowski

„Kino Krótkich Filmów” to księżka o magii opowieści i ulotnych momentach życia uchwyconych w naszej pamięci niczym w krótkich filmowych kadrach.

## FRAGMENTY POWIEŚCI

M zatrzymał się naprzeciw pary cylindrycznych baszt ze strzelnicami. Strzegły bram zwróconych w stronę wody. Niegdyś bramy przypuszczalnie wychodziły na drewniany most przez cy Malbork z tułaczami i w ogóle z Okcydentem. Tak uważał mój przyjaciel. Zapewne miał rację, bo potrafił czytać różne teksty, nie tylko pisane literami alfabetu.

Za basztami były w chmurę ogromne budowle stolicy zakonu. W niektórych mieszkała klasztorna surowość, a inne otaczał pałacowo-dworski splendor. Na te mury można było gapić się i gapić, a i tak nie dało się ich objąć, zapamiętać ani pojąć, jak się nie da wchłonąć oceanu, lasu, gór czy potęgi ognia. Na każdy z tych cudów można patrzeć aż do końca świata i wciś by dopiero na początku postrzegania jego kształtu. Uśmiechałem to od M. Powtarzam.

M miał we sobie straszny zamęt, a zaatakował do trafienia syderem, który może by coś wytłumaczył, ofiarował nam jasność, zrozumienie tych kamieni, ale nic nie nadleciało z nieba, padał tylko mokry śnieg, cokolwiek śnieżył ten, który sypał w polach.

\*

U samych stóp twierdzy chodnikiem wzdłuż rzeki przemykali z rzadka jacyś ludzie, tacy mali jak szczelina między kciukiem a dotykającym go już prawie palcem. M za bardzo im się nie przyglądał, skupiony na zamku. Mówił: nie przyglądał się przechodniom, jednak dwóch z nich wyraźnie zauważył, zapewne dlatego, że oni jedyni nie dreptali w tło i we w tło, lecz stanęli nieruchomo pomiędzy basztami.

Patrzyli na twierdzę – tak jak my na drugim brzegu – tyle że musieli zadrzeć głowę, jakby wystawiali się na dotyk śniegu. M zdawało się, że rozpoznaje między nimi w kapturze i kobietę w szarych chustach. Zrazu uznał, że to jest powidok, taki jak po zaciśnięciu powiek, albo że to całkiem inni ludzie, choć nader podobni do dwojga, których ujrzał w Nowym Jarze. Szczególnie kobieta. M próbował lepiej jej się przyjrzeć, jednak była zbyt daleko. Z tej odległej perspektywy uderzała tylko jej dziewczęca niemal kruchość, tak bardzo wyrażona na tle potężnego zamku.

\*

Niezależnie od tego, kim była kobieta, która stała pod basztami – mieszkanka okolic, Cyganka, turystka z Bałkanów czy tylko miłośniczką, nieostrym obrazem w kinie pod sklepieniem czaszki – M widział w niej Miriam z Nazaretu i żydów.

Stała pod murami swego zamku. Uderzyło go, że to jej zamek, kiedy wypowiedział szeptem nazwy: Malbork – Marienburg – Gród Marii. Podobnie jak w setki i tysiące innych fortec, miast, kaplic i katedr w a tak wielu miejscach ziemi wpisano weń imię tej cichej żydowskiej dziewczyny. Chyba była tym zdumiona,

nie umia?a tego poj???. M odniós? wra?enie, ?e ta masa cegie? j? przygniata i mia?d?y jej ko?ci.

\*

Najci??sze w tych murach wydawa?y si? wtopione w nie obrazy, wro?ni?te tam g?osy, ta ca?a spl?tana opowie?? o n?dzy i glorii ?miertelnych, którzy wznie?li zamek nad zamkami – na chwa?? patronki, a zarazem na ?wiadectwo ich w?asnej pot?gi i w?adzy.

To by?a opowie?? o mnichach, którzy podbijali kraj nad doln? Wis??, zdobywali le?ne Prusy, poluj?c na ludzi, jak poluje si? na dziki, wprowadzali swój porz?dek w ca?kowicie obcym uniwersum, wznosili warowne klasztory, ?eby strzeg?y ich przed wrogim ?wiatem (bo S?owo jest s?owem, Obietnica obietnic?, ale trzeba mie? zapasy srebra, pszenicy i broni), budowali ludwisarnie, mosty, m?yny i karwany, kochali zwyci?stwa, dostatek i konie, mi?osierni i okrutni – mieli w sercach lito?? i mieli nienawi??, modlili si? d?ugo, modlili si? krótko, bez wiary i z wiar?, po?yczali na wysoki procent, piekli chleb, leczyli chorych, handlowali zbo?em, bursztynem i drewnem, skr?cali si? z bólu, karmili ubogich, lokowali wsie i miasta, k?amali i kl?li, l?kali si? tr?du, jadali w milczeniu, lubili podró?e (byle tylko nie w czas pluchy, gdy kopyta ko?skie grz?zn? w bagnie), wydawali osza?amiaj?ce uczty, t?sknili, marzyli, ratowali i bronili swoich, mordowali bez pardonu obcych. Codziennie s?awili i codziennie zabijali Boga.

\*

Ona te? powinna by?a umrze?, jej ko?ci powinny by? miazg?, ale sta?a u stóp zamku.

M widzia? wyra?nie: tak drobna i krucha, jakim? cudem by?a wi?ksza i znacznie mocniejsza od najwi?kszej góry cegie? na naszej planecie. Sprawia?a, ?e mimo szale?stwa wpisanego w owe mury bi?o z nich niewiarygodne pi?kno, a w nim trwa?a cisza, ta sama, co w lesie, s?yszalna wbrew szumom ulicy i miasta.

M widzia?, ?e pi?kno za rzek? jest z Miriam – ofiarowuj?cej ?wiatu Syna, bezdomnego Króla na wygnaniu, bez korony i bez armii.

\*

M ujrza? t? prawd? w u?amku sekundy. Kto mu j? pokaza?, nie wiem.

[...]

Na ?niadaniu nie zjawi?a si? synowa i nie zjawi? si? pan Gliwa. Synowa zapewne nie ?yczy?a sobie dalszych spotka? z kim?, kto zrani? jej kobiec? dum?. Mój przyjaciel by? szcz??liwy, ?e nie musi gra? komedii, któr? trzeba by?oby wytrwale ci?gn??, gdyby ?ona syna pa?stwa Gliwów kr?ci?a si? w kuchni.

Nieobecno?? pana domu wyja?ni?a pani domu. Powiedzia?a, ?e m?? czuje si? niedobrze i ?e b?dzie lepiej, jak zostanie w ?ó?ku do po?udnia. Mój przyjaciel podejrzewa?, ?e gospodarz straci? ch?? do ca?owania go po r?kach, to znaczy: ich przyja?? dobieg?a do ko?ca. M nie mia? mu za z?e. W?a?ciwie si? cieszy?, bo okropnie trudno mierzy? si? ze wstydem – i w?asnym, i cudzym.

?a?owa? jedynie, ?e rano przy stole nie by?o Micha?a. Pewnie jeszcze spa? lub od samego ?witu wykonywa? przepisane mu ?wiczenia pod okiem swej matki. M zna? te tortury z czasu w?asnej walki o mo?liwo?? panowania nad ruchami cia?a. Kilka z nich stosowa? do niedawna.

\*

Pani Gliwa si? nie u?miecha?a, lecz nie uchybia?a go?cinno?ci. Nakarmi?a mego przyjaciela jak pielgrzyma i da?a mu jeszcze wa?ówk? na drog?. M bardzo dzi?kowa?. Potem zdj?? z grzejnika to, co przepra?, zapakowa? do plecaka i w?a?ciwie by? gotowy do odlotu. Gospodyni zapyta?a:

– Po co pan dzieciakom opowiada? takie bajki?

– Ale jakie?

– O tej Szwecji.

– Ja tam rzeczywi?cie id?.

Pani Gliwa oniemia?a. Po chwili rzuci?a:

– I co, przejdzie pan przez morze jak Moj?esz z narodem?

M nie lubi? my?le? o tej kwestii, odp?dza? te my?li na pó?niej, na potem. Nie chcia? o tym tak?e gada?, wi?c wyj?ka? co? na odczepnego, co? w rodzaju:

– Dzisiaj chyba b?dzie zimniej.

Pani Gliwa pokiwa?a lekko g?ow?. Dzi?kowa?a opatrzo?ci, ?e ten cz?owiek ju? wychodzi. Nie by? ojcem ani m??em, ani synem, nie by? tym, na kogo tu czeka?a. I nie by? normalny. Powinien ju? odej??.

\*

Micha? zjawi? si? w ostatniej chwili. Zasta? mego przyjaciela w sieni, z plecakiem na grzbiecie.

– Ju? idziesz? – wyst?ka?.

– To jest pan, a nie kolega albo tatu? – pouczy?a wnuka babka.

– Pan idziesz?

– Tak, id?.

– Do Szwecji?

– Do Szwecji.

– A we?miesz mnie z sob?... Pan we?miesz mnie z panem? – sam poprawi? si?, jak umia?.

– Twój tata ci? we?mie, na pewno. Teraz lepiej, ?eby? w domu przygotowa? si? do drogi. Powiniene? du?o ?wiczy?, to jest wa?ne, te? ?wiczy?em.

M musia? to zrobi?. Przypuszcza?, ?e babka si? w?cieknie, lecz chy?kiem, ukradkiem, przera?liwie skr?powany, sztywny i nieumiej?tny, wykona? znak krzy?a nad dzieckiem.

– Co robisz? – wydusi? ch?opaczek.

– Poprosi?em Pana Boga, ?eby jeszcze mocniej ci? pokocha?.

Ma?y ruszy? praw? r?k?, chc?c powtórzy? gest swojego przyjaciela. Wyszed? z tego jaki? zygzak, co? jak znak wiosennej b?yskawicy. M zosta? trafiony. Pot??nie. Na amen.

\*

Wyszli?my bezpiecznie. Rudy nam nie wygryz? ty?ków.

\*

Niebo pokrywa?y cienkie i pofa?dowane chmury, takie ??obki albo pasma jak na moim podniebieniu; najlepiej je wida?, gdy ziewam. Zrobi?o si? jasno, prze?wieca?o nawet s?o?ce. M mia? racj?, by?o zimniej ni?li poprzedniego dnia, lecz sucho, a zarazem bardzo ?lisko.

Dobrze by? na powrót w drodze – dok?adnie to samo pomy?leli pies i cz?owiek.

[...]

Przed sklepem w Lichnowach wysiada z kolasy hiszpa?ska królowa. Jest pi?kna. Ma na sobie d?ug? sukni? ozdobion? srebrem i per?ami, na g?owie – fryzur? z plecionych warkoczy i diadem. I ró??. Jej wargi czerwieni? si? krwawo, a puder na licach ma zapach Po?udnia.

Szymoniak i Rejmer s? troch? zdziwieni. Tak siedz? przed sklepem, zbieraj? na wino o smaku Pó?nocy i nagle – kolasa, królowa, fryzura i puder.

Co za? do owego spo?ywczego, to on mie?ci si? w niebieskim kontenerze. No i maj? tam nie tylko ?wik??, ale tak?e gwo?dzie i saletr?. Królowa kupuje zapa?ki. Widzi bu?k? z rodzynkami. Te? prosi i bierze, ?eby sobie popróbowa?. Dworzanie kupuj? ?mietan?, na pó?niej.

Szymoniak i Rejmer doskonale wyczuwaj?, ?e wypada co? zagada?, na przyk?ad zapyta?, sk?d królowa tutaj, w sercu ?u?aw, w?a?nie dzisiaj, dok?d jedzie, jak si? miewa, z tym ?e troch? si? kr?puj?. Zdobywaj? si? na ?mia?o?? nazbyt pó?no, kiedy ona ju? odje?d?a.

Orszak znika za wierzbami. Znowu robi si? zupe?nie pusto, raczej cicho, tylko zgrzyta lu?na blacha oderwana z boku kontenera, tak ?e trudno mie? zupe?n? pewno??. czy naprawd? kto? zatrzyma? si? w Lichnowach, w d?ugiej sukni, kupi? bu?k? i zapa?ki, i roztoczy? swój majestat wokó? sklepu spo?ywczego i hen, dalej, a? po szos? do Palczewa.

\*

Panie sprz?taj? po panach. Bo ci zawsze, jeden z drugim, tak na?wini?, napaskudz? – jak zwierzaki – i gdzie? pójd?.

– A ty potem szoruj, pucuj – sapie pani A. Powro?nik. – Jeszcze wytrzymaj.

Bo jak tak by liczy? na tych panów, toby mo?na si? przeliczy?. A tam zostawione by?o tak jak w chlewie.

– Jakby oni sami posprz?tali, ?miech na sali – skar?y si? Renata Zajdel – to ja bym lokalu nie pozna?a. Anka, powiedz.

A. Powro?nik kiwa g?ow? i dodaje:

– Tylko ch?opy tak potrafi?. A? lepi?o si?, jak cz?owiek chodzi? tu czy ówdzie po pod?odze. Co za ludzie, jeden z drugim?

Po godzinie wszystko b?yszczy. Panie pal? z filtrem na powietrzu.

Co takiego jest w tych panach, że cholera, tak na wini, potem pójd?

Co takiego jest w tych paniach, że zobacz, jak jest na winione, pomarudz, ale sprztn?

Niepojtajemnica. Tajemnica pa i panów.

\*

Ona robi tak: wybiera miejsce – na uboczu, żeby nikt jej nie podgląda, no i żeby miała rozpostarcie – bierze dosydugi rozbieg, wyciąga ramiona i skacze. Rzuca się do przodu całym ciałem, jak się daje nura w wodę, i dalej już leci, a waciwie jakby pynie, bez obawy, że utonie, bez lku, że spadnie, że powietrze jej upuści.

Zwykle leci dosy nisko, z pięć metrów nad ziemią, nie wyżej. Nie miele rękami, nie moci nogami – przyciąga ramiona do boków i porusza się jak delfin, minimalnie i oszczędnie, niemal niezauważalnie, a jednak to daje jej prdkość wawo galopującego konia.

Wszelkie zwroty, opadanie czy wznoszenie wykonuje naturalnie, bez wysiłku, półświadomie. Kiedy czuje, że już chce zakończyć przelot, zmniejsza puap, nieco zwalnia, wytrzymuje tuż nad lądowiskiem, z pozycji poziomej przechodzi w ukośny, opada na stopy, biegnie kilkadziesiąt metrów, po czym zatrzymuje się bezpiecznie. Chwilę stoi w miejscu, odpoczywa.

I w powietrzu, i po lądowaniu jest szczepiwa niczym dziecko. To niedobrze powiedziane. Ona ma dwanaście lat, co? ko o tego, więc lepiej powiedzie, że szczepiwa jest jak latająca ryba. Nigdy o tym szczepciu nic nie mówi: ani w domu, ani w szkole, ani koleżankom na podwórku. Nie wspomina także o lataniu. Wie, że gdyby to zrobiła, zaraz byłoby po wszystkim.

kino not found or type unknown

Fragmenty pochodzą z książki: M. Stokowski, *Kino krótkich filmów*, WYDAWNICTWO NIECA, 2014.